

Nie odkryję Ameryki, jeśli stwierdzę (który to już raz?), że jest coś niezwykłego w muzyce Mozarta. Trudno opisać jej nastrój. Czy jest to melancholia, rozmarzenie, pogodna rezygnacja, zakochanie w czymś bardziej abstrakcyjnym niż człowiek? Zakochanie w czymś bardziej jeszcze abstrakcyjnym, niż ludzkie marzenia? Nie ulega kwestii, że Mozart myślał muzyką, tak jak większość ludzi myśli słowami.

W sobotni (3.10.20), wyjątkowo pogodny dzień NFM Orkiestra Leopoldinum postanowiła zacząć koncert utworem, który kojarzą setki milionów ludzi na świecie. Była to XIII Serenada G-dur KV 525 „Eine kleine Nachtmusik” Mozarta, utwór napisany w późnym okresie pracy twórczej, w czasach Don Giovanniego, w przeciwieństwie do tej arcy mistrzowskiej opery celowo prosty i przystępny. Mimo to melodie z Małej Nocnej Serenady stały się nieśmiertelne. Kto je raz usłyszy, nie może już o nich zapomnieć. Złośliwcy twierdzą, że Mozart i później Beethoven żyli w czasach ostatecznego wejścia systemu dur-moll do muzyki klasycznej i będąc u jego zarania po prostu wykorzystali wszystkie jego najistotniejsze implikacje melodyczne i przetworzeniowe. Ich następcy zatem byli skazani na ich naśladowanie, lub na biegnięcie pod prąd tego systemu, aby oderwać się od wielkiego dziedzictwa wiedeńskich kompozytorów i zachować oryginalność.

Nie wierzę złośliwcom, ale cudowna prostota Eine kleine Nachtmusik sprawia, że rozumiem mimo wszystko ich niepokoję. Jak to możliwe, że tak piękna muzyka może być tak prosta? Jak to możliwe, że pojawiła się tylko raz w myślach twórcy? Nie było innych Małych Nocnych Serenad, równie prostych i równie

nastrojowych.

Szef artystyczny Orkiestry Leopoldinum poprowadził serenadę bardzo ciekawie. Nie zdecydował się na imponujące, niemal dzikie „rach, ciach, ciach” w części pierwszej, które stało się niemal standardem wykonań tego utworu. Tak jakby na przestrzeni dekad wszyscy dyrygenci, od Karajana po Gardinera chcieli przede wszystkim wbić tę muzykę mocniej w przestrzeń naszych snów, wrażeń, emocji, gdzie i tak żyje ona od dawna. Joseph Swensen zagrał serenadę łagodnie i bardzo intymnie. Orkiestra wpisała się w ten ciekawy pomysł znakomicie i byłem pod wrażeniem nowej, ciekawej interpretacji bardzo ogranego przecież utworu.

Zanim orkiestra zagrała Sinfonietę per archi Krzysztofa Pendereckiego, Joseph Swensen chwycił za mikrofon i przywitał się z nami. Wyznał, że nigdy wcześniej nie spędził 6 miesięcy nie wypełnionych muzyką, jako że pochodzi z rodziny profesjonalnych muzyków. Bez cienia wątpliwości, ten głód muzykowania odbił się bardzo pozytywnie na jakości prezentowanej muzyki. Samo nawiązywanie kontaktu z publicznością Swensena jest miłe. Podobało mi się też, że potrafił upomnieć audytorium, gdy to klaskało bez sensu przerywając utwór. Tym razem wzruszenie nie pozwoliło na uwagi dotyczące klaskania w częściach utworu, który zna nawet średnio zainteresowany muzyką Taj czy Hindus.

Sinfonietta per archi Pendereckiego została wykonana comme il faut, świetne były solówki. Jak zwykle zamyśliłem się nad motywami melodycznymi niedawno zmarłego kompozytora. Wydało mi się, że dźwięki oplatają jakieś niemal barokowe elipsy, że mają też w sobie coś z egzotycznych interwałów muzyki cieni krakowskich kantorów. Muzyka współczesna często wyklucza z

muzyki melodie, które można zanucić czy łatwo rozpoznać. Są raczej sekwencje dźwięków. Lub też były, bo obecnie mamy czas neoromantyczny, którego liderem był bez wątpienia późny Penderecki. Ale w sinfonietcie słyhać awangardę która nie szkodzi zupełnie adekwatnej dla romantyzmy melodycznej wylewności.



Na koniec usłyszeliśmy bardzo pogodnego i rozmarzonego Dworzaka. Opływająca pogodną ducha, malownicza, ludyczna momentami Serenada na smyczki E-dur op. 22 doczekała się tego dnia interpretacji zupełnie rewelacyjnej. Dzieło było zagrane finezyjnie, barwnie, z humorem, z wielką lekkością i wrażliwością jednocześnie. Było to bardzo mocne artystycznie zwieńczenie udanego koncertu.